

# **GEOSTRATEGIA**



Jadwiga KIWERSKA

Instytut Zachodni, Poznań

## **OD ASYMETRII DO ZRÓWNOWAŻONEGO PARTNERSTWA: RELACJE STANY ZJEDNOCZONE – REPUBLIKA FEDERALNA NIEMIEC**

Nie ma przesady w twierdzeniu, że relacje amerykańsko-niemieckie, dość stabilne w okresie zimnej wojny, poddane zostały na przełomie XX i XXI wieku wyjątkowym turbulencjom i przeobrażeniom, które wprowadziły je w zupełnie nową fazę. Wprawdzie udało się utrzymać rangę tych relacji, zwłaszcza dla funkcjonowania układu transatlantyckiego, jednak pojawiła się nowa jakość, której istota sprowadza się do bardziej zrównoważonego potencjału i znaczenia politycznego obu członów, większej asertywności strony niemieckiej wobec oczekiwań i żądań Waszyngtonu, prowadzącej nawet do zachowań sprzecznych z linią amerykańską. Innymi słowy, wyraźna asymetria, jaka określała relacje między Stanami Zjednoczonymi a Republiką Federalną Niemiec niemalże przez cały okres zimnej wojny, po jej zakończeniu z wolna zniknęła jako czynnik kształtujący wzajemne stosunki. Warto prześledzić ten proces.

Ukształtowanie powojennych relacji między USA a RFN na zasadzie silnej asymetrii wynikało z faktu, że Niemcy były pokonanym i upokorzonym wrogiem, poddanym okupacji i kontroli czterech zwycięskich mocarstw. Najsilniejszym wśród nich były bez wątpienia Stany Zjednoczone, zdolne dzięki temu decydować o przyszłości Niemiec, zwłaszcza w odniesieniu do trzech zachodnich stref okupacyjnych. To był punkt wyjścia i najważniejszy czynnik kształtujący powojenne stosunki amerykańsko-niemieckie. W efekcie to Ameryce Niemcy Zachodnie zawdzięczały odbudowę swej państwowości, zresztą w formie przygotowanej przez Amerykanów (Ustawa Zasadnicza pisana niemalże „pod dyktando” Stanów Zjednoczonych), pomoc gospodarczą (w ramach planu Marshalla uzyskały pomoc o wartości grubo ponad 1 mld dol.), wreszcie psychologiczne i polityczne poparcie, jakże ważne dla pokonanego i wycieńczonego wojną narodu, zepchniętego na margines życia międzynarodowego. To przy amerykańskim wsparciu i poręczeniu budowano i umacniano demokrację w Republice Federalnej, która z wolna coraz śmielej działała na arenie zewnętrznej. To Stany Zjednoczone przez cały okres zimnej wojny gwarantowały bezpieczeństwo swemu zachodnioniemieckiemu sojusznikowi.

Takie gwarancje bezpieczeństwa amerykańskie supermocarstwo oferowało wszystkim swym europejskim sojusznikom, jednak waga tego czynnika w przypadku RFN była wyjątkowa. Wszak podział Niemiec był odzwierciedleniem podziału Europy i utrzymanie tej sytuacji wiązało się z zimnowojenną rywalizacją między światem zachodnim a komunistycznym. Zatem dla kolejnych administracji amerykańskich – od Harry’ego Trumana po Ronalda Reagana państwo zachodnioniemieckie stanowiło element ogólnej strategii wobec Europy – strategii „podwójnego powstrzymywania”:

trzymania w szachu Związku Radzieckiego przez stawianie mu tamy w postaci RFN, ale też – i warto to podkreślić – trzymanie w szachu Bonn za pomocą integracyjnych struktur sojuszniczych. Amerykanie zainspirowali bowiem powstanie NATO, w którym mieli odgrywać dominującą rolę, jako formę ochrony przed ewentualną ekspansją radziecką, ale włączenie RFN do Sojuszu w 1955 r. pojmowali także jako zabezpieczenie przed ewentualnym nowym zagrożeniem niemieckim (słynna formuła „in, out, down”).

Już to powodowało, że rola Niemiec Zachodnich w NATO była wyraźnie ograniczona i przez to umniejszona. Jeśli jeszcze dodać ograniczenia w zakresie zaangażowania militarnego Bundeswehry wynikające – jak twierdzono – z zapisów Ustawy Zasadniczej, to słabsza pozycja RFN jest jeszcze bardziej wyrazista. Mieliśmy zatem do czynienia z sytuacją niemal paradoksalną: ranga Niemiec Zachodnich w NATO była niekwestionowana, choćby dlatego, że ich członkostwo w Sojuszu umacniało obecność Ameryki na kontynencie europejskim (to na terytorium RFN stacjonowało najwięcej amerykańskich wojsk) oraz stanowiło ważny czynnik strategii powstrzymywania Związku Radzieckiego. Z drugiej strony, utrzymywała się słabsza rola Niemiec w Sojuszu wynikająca choćby z obciążenia historycznego i konstytucyjnego tego państwa, a także sprawowanej na mocy Umowy Poczdamskiej, formalnie aż do 1990 r., kontroli czterech mocarstw, czyli pewnej ograniczonej suwerenności. Wyrażało się to zresztą dominacją w bońskiej polityce zagranicznej tzw. kultury powściągliwości.

W połowie lat pięćdziesiątych amerykańska polityka „podwójnego powstrzymywania”, zarówno wobec Związku Radzieckiego, jak i wobec RFN, okazała się jednak skuteczna. ZSRR pozostał w tych granicach politycznych i geograficznych stref wpływów, które uzyskał w wyniku II wojny światowej. Zaś RFN, realizując sumiennie pod wodzą Konrada Adenauera strategię atlantycką była zintegrowana z zachodnim systemem sojuszy i na jej terytorium stacjonowały wojska amerykańskie. Ale przede wszystkim – jako państwo słabsze i uzależnione – była w pełni lojalnym i posłusznym partnerem USA. Jednocześnie dzięki amerykańskiej pomocy w ramach planu Marshalla, a także własnej determinacji Niemcy Zachodnie osiągnęły imponujący potencjał gospodarczy. Natomiast część wschodnia – Niemiecka Republika Demokratyczna – przynależała do bloku radzieckiego i zintegrowana była ze wschodnim systemem sojuszy. Obowiązujący model radziecki powodował, że kraj ten pozostawał daleko w tyle za RFN. Wszystko to umacniało podział Niemiec i tym samym podział Europy. Równocześnie jednak utrzymywało asymetrię w relacjach między Waszyngtonem a Bonn (podobnie zresztą jak między Moskwą a Berlinem).

Dlatego też żadne z supermocarstw nie chciało stawiać tego podziału pod znakiem zapytania, gdyż zakłóciłoby to europejską i globalną równowagę sił. Wprawdzie obie strony uznały za wskazane – przynajmniej werbalnie – popierać niemieckie dążenia do zjednoczenia, jednak ani Waszyngton, ani Moskwa nie życzyły sobie zjednoczonych Niemiec. Bowiem uzyskałyby one możliwość swobodniejszego kształtowania swej polityki zagranicznej, a to z pewnością zagrażałoby istniejącemu porządkowi rzeczy, a przede wszystkim podważyłoby stan nierównowagi we wzajemnych relacjach, faworyzujący USA po jednej i ZSRR po drugiej ze stron. A zatem istnienie podzielonych i w zamyśle osłabionych Niemiec po II wojnie światowej – pomijając inne aspekty – było ceną za spokój Europy, swoistą gwarancją, że historia już się nie powtórzy, ale także utrzymaniem korzystnego dla Ameryki układu relacji z Republiką Federalną.

Tymczasem w latach 70. zmienił się zarówno globalny, jak i regionalny układ sił, dzięki czemu dla stosunków amerykańsko-niemieckich powstały nie tylko nowe możliwości, lecz również zarysowały się przed nimi pewne problemy. Faktem, którego znaczenie trudno przecenić, było umocnienie gospodarczego potencjału Niemiec Zachodnich, które stawały się dzięki temu wraz z Francją główną siłą motoryczną integracji europejskiej. Tę silną już pozycję RFN starał się na polu relacji ze Wschodem zdyskontować powstały na jesieni 1969 r. rząd Willy'ego Brandta – Waltera Schella. Przede wszystkim zdawał sobie on sprawę z tego, że warunkiem zbliżenia RFN z Europą Wschodnią i koordynacji zachodnioniemieckiej polityki zagranicznej z wysiłkami odprężeniowymi Stanów Zjednoczonych oraz pozostałych mocarstw zachodnich jest formalne uznanie przez Bonn europejskiego *status quo*.

Dostosowanie się dyplomacji zachodnioniemieckiej do polityki odprężeniowej Stanów Zjednoczonych nie było łatwe. Mimo że bońska polityka wschodnia – *Ostpolitik* – nie odgrywała pierwszoplanowej roli, a przyłączyła się jedynie do dynamicznych inicjatyw innych państw zachodnich, to pierwsze reakcje Waszyngtonu dowodziły, że amerykański patron sceptycznie i z niepokojem przyjmuje próby bardziej autonomicznego działania Bonn na arenie międzynarodowej. To z kolei uświadomiło politykom bońskim, że ich własne działania powinny być bardziej wyważone. Tak jak w przeszłości powściągliwość RFN wobec porozumień Wschód–Zachód wywoływała krytykę Stanów Zjednoczonych, tak teraz entuzjazm wobec odprężenia budził ich obawy. Strona amerykańska podejrzewała, że Bonn w celu zwiększenia szans zjednoczenia narodowego przez *Ostpolitik* osłabi swoje powiązania z Zachodem.

Obawy związane z dalekosiężnymi skutkami polityki wschodniej wyrażał Henry Kissinger: „...wydaje się, że nowa polityka wschodnia Brandta, która dla wielu zdaje się być jakby polityką postępu w kwestii odprężenia, w rękach człowieka mniej skrupulatnego mogłaby się przeobrazić w nową formę klasycznego nacjonalizmu niemieckiego. Od Bismarcka po Rapallo istotą nacjonalistycznej niemieckiej polityki zagranicznej było swobodne manewrowanie między Wschodem a Zachodem [...]. Powinno się pamiętać, że w latach pięćdziesiątych wielu Niemców, [...] fascynujących się Wschodem albo zafascynowanych wizją Niemiec jako «pomostu» między Wschodem a Zachodem, występowało przeciwko takiemu wcieleniu Bonn w struktury Zachodu, które na zawsze utwierdzi podział Niemiec i ograniczy odnowienie aktywnej roli Niemiec na Wschodzie. Ten rodzaj dyskusji o podstawowej pozycji Niemiec może przybrać bardziej zdecydowane kształty [...], rodząc podejrzenia wśród zachodnich sojuszników Niemiec co do ich wiarygodności jako partnera”<sup>1</sup>. Taki partner z pewnością próbowałby wzmocnić swą pozycję w relacjach z Waszyngtonem. Niewątpliwie, dzięki *Ostpolitik* udało się Republice Federalnej zwiększyć swój prestiż międzynarodowy i wpływy dyplomatyczne, co nie pozostało zupełnie obojętne dla relacji amerykańsko-niemieckich.

Ze stopniowym pogarszaniem się stosunków na linii Bonn–Waszyngton mieliśmy do czynienia w okresie rządów kanclerza Helmuta Schmidta, który w 1974 r. zastąpił Brandta. Spowodowane to było pojawieniem się nowych elementów w stosunkach

<sup>1</sup> Cyt. za: M. Mathiopoulos, *US – Präsidentschaft und die deutsche Frage in der Kanzlerschaft von Adenauer bis Kohl*, „Aussenpolitik” 1988, nr 4.

międzynarodowych. Z jednej strony nastąpiło obniżenie prestiżu Ameryki wskutek wojny wietnamskiej i afery Watergate. Można było mówić o nadwężeniu wiarygodności Stanów Zjednoczonych, a nawet osłabieniu dominacji USA na płaszczyźnie politycznej, ekonomicznej i militarnej, przy równoczesnym postępie procesu integracji europejskiej i rosnącej roli w tym procesie Niemiec. Z drugiej strony pod koniec lat 70. świat miał do czynienia ze wzrostem agresywnych tendencji w polityce radzieckiej. Angola, Jemen Południowy, Etiopia, ale przede wszystkim Afganistan doświadczyły militarnego ekspansjonizmu Związku Radzieckiego.

Nowa sytuacja na arenie międzynarodowej spowodowała zmianę podejścia Stanów Zjednoczonych do Europy, Niemiec i NATO. Amerykanom chodziło głównie o przejęcie części obciążeń finansowych i wojskowych przez europejskich sojuszników. Oczekiwanie te kierowane były głównie pod adresem RFN, a dotyczyły one zwłaszcza zobowiązań militarnych. Ponadto Amerykanie uważali, że w obliczu radzieckiego ekspansjonizmu i związanej z tym rezygnacji z polityki odprężenia to przede wszystkim Bonn winno zredukować swoje doskonale prosperujące stosunki handlowe z Moskwą. Innymi słowy, Waszyngton oczekiwał większej lojalności i posłuszeństwa od swego zachodnioniemieckiego partnera.

Takie oczekiwania wywoływały frustracje po obu stronach Atlantyku – coraz wyraźniej rysowały się różnice w rozumieniu polityki odprężenia między Ameryką a Europą. Zwłaszcza między Waszyngtonem a Bonn, tym bardziej że rząd SPD–FDP traktował lansowaną przez prezydenta Jamesa E. Cartera politykę praw człowieka jako wpływającą negatywnie na powodzenie polityki wschodniej RFN. A kanclerz Schmidt próbował kontynuować Brandtowską *Ostpolitik* w formule „zmiany przez zbliżenie”, jak również intensyfikować stosunki handlowe z Moskwą i innymi państwami Układu Warszawskiego. Sugerował w ten sposób, że dąży do większej niezależności od polityki i woli Waszyngtonu. Dlatego te działania określano w Białym Domu jako „akcje na własną rękę” i dlatego spotykały się one z jego krytyczną oceną. Bezskutecznie kanclerz Niemiec starał się przekonać amerykańskiego sojusznika, że „partnerstwo w bezpieczeństwie” ze Wschodem należy zaakceptować jako integralną część bońskiej polityki zagranicznej.

Wraz z chadecko-liberalnym zwrotem między Renem a Łabą w 1982 r. i realizacją przez rząd nowej koalicji podwójnej decyzji NATO z grudnia 1979 r. o instalowaniu w Europie amerykańskich rakiet i pocisków średniego zasięgu wydawało się, że nastąpi rozproszenie antagonizmów narosłych w epoce Cartera–Schmidta, a Bonn powróci do roli spolegliwego partnera. Tym bardziej, że relacje osobiste między Helmutem Kohlem a Ronaldem Reaganem układały się bardzo dobrze. Jednak za tym „harmonijnym partnerstwem” na szczeblu rządowym, opartym na słabszej pozycji Bonn, kryły się nowe czynniki, kształtujące od połowy lat osiemdziesiątych oblicze Europy, stosunków Wschód–Zachód, a przede wszystkim kulturę polityczną Republiki Federalnej Niemiec.

Obok utwierdzonego już potencjału gospodarczego RFN, powstanie ruchu pacyfistycznego i alternatywnego, protestującego przeciwko stacjonowaniu amerykańskich rakiet średniego zasięgu w Niemczech Zachodnich oraz odradzanie się niemieckiej tożsamości to były nowe elementy, które wpływały na oblicze polityczne państwa zachodnioniemieckiego. Ożywienie problemu niemieckiej tożsamości, a tym samym

rozważań o przeszłości wywołała dyskusja na temat tego, czy masowe ludobójstwo hitlerowskie można zrelatywizować przez porównania historyczne, na przykład ze stalinizmem. Także zagadnienie podziału i możliwości ponownego zjednoczenia Niemiec powróciło z nową siłą do publicznego dyskursu – pojawiło się w opracowaniach naukowych, publicystyce, a zwłaszcza w życiu politycznym. Powszechne były rozważania na temat szans zjednoczenia aż po nadzieję, że odbudowa jednej państwowości niemieckiej stanowi konieczność. Na temat przyszłego zjednoczenia Niemiec dyskutowali Zieloni, socjaldemokraci i liberałowie, a przede wszystkim partie chadeckie. W CDU pojawiły się głosy, które za główny cel polityki niemieckiej uważały ponowne zjednoczenie Niemiec, jeszcze przed osiągnięciem jedności Europy. Niektórzy politycy byli nawet gotowi zgodzić się na „neutralność Niemiec jako cenę za zjednoczenie”.

Reakcje Amerykanów na nowo wyzwoaloną tożsamość niemiecką i ożywienie kwestii zjednoczenia Niemiec były różne, dowodziły jednak obaw o utrzymanie dotychczasowego statusu w relacjach amerykańsko-niemieckich. Najwcześniej pojawiło się znane już zaniepokojenie o wierność RFN dla sojuszu zachodniego oraz irytacja wywołana pacyfistycznymi i antyamerykańskimi nastrojami w społeczeństwie zachodnoniemieckim. Przykładem może być komentarz konserwatywnego publicyście amerykańskiego Williama Safire’a, zamieszczony w 1984 r. na łamach „The New York Times”: „W 40 lat po wojnie, w dwa pokolenia po podzieleniu III Rzeszy przez zwyciężskich aliantów, przywódcy niemieccy ze Wschodu i Zachodu zaczynają wywierać presję, by znów zjednoczyć swój kraj. Oczywiście, nikt nie zechce tego przyznać... Za 10 lat dowiemy się o tajnych rokowaniach, toczących się w tych latach między Niemcami, którzy przedłożyli swoją ojczyznę nad ideologię”<sup>2</sup>.

Jakkolwiek wówczas myśli o zjednoczeniu wydawały się mało realne, to wkrótce sytuacja zmieniła się diametralnie. Owa zmiana spowodowana była m.in. nowymi tendencjami w radzieckiej polityce zagranicznej, zwłaszcza gdy stanowisko sekretarza generalnego KPZR objął w 1985 r. Michaił Gorbaczow. Chcąc zademonstrować nowe podejście do świata przywódca radziecki rzucił hasło budowy „wspólnego europejskiego domu”. Odpowiedzią prezydenta Reagana był apel spod Bramy Brandenburskiej o zburzenie muru berlińskiego: *Mr. Gorbaczow, open this gate... Mr. Gorbaczow, tear down this wall*. Niemcy Zachodnie dostrzegły w tym nadzieję na zrealizowanie swych politycznych celów. Radykalna zmiana atmosfery politycznej w Europie umożliwiła Bonn dalsze zbliżenie z NRD, a także ze Związkiem Radzieckim, bez którego poparcia nie można było myśleć o ponownym zjednoczeniu Niemiec. W RFN pojawiły się opinie postulujące „równy dystans”, wyznaczający miejsce i rolę Bonn w stosunkach Wschód–Zachód. Mówiono o bardziej zdecydowanej *Ostpolitik*, której celem byłoby nie tylko wytworzenie normalnych więzi ze Wschodem, lecz także zaanektowanie „pangermańskiej strefy wpływów” w Europie Środką – jeszcze niezbyt jasno określonej. Wiele działań Bonn wskazywało, że RFN buduje własne mosty na Wschodzie, mając na myśli nie tylko gospodarcze, ale także polityczne zyski.

To z kolei potęgowało obawy w Waszyngtonie. Ponownie padały głosy przestrzegające przed groźbą neutralizacji Niemiec Zachodnich, rozluźnienia ich więzi z soju-

<sup>2</sup> W. Safire w: „The New York Times” z 14 IX 1984.



szem zachodnim. Amerykańscy politycy i eksperci stawiali w debacie publicznej pytania, które dowodziły, że w ich opinii Związek Radziecki traktuje „niemiecką kartę” jako swego rodzaju atut. Czy wprowadzenie RFN do Gorbaczowskiego „wspólnego domu europejskiego” nie zostanie przez Bonn ocenione wyżej niż jego związek z Zachodem? Co będzie, gdy Gorbaczow zaproponuje transakcję, której wynikiem miałyby być neutralne, zjednoczone Niemcy? Jak ułożą się wówczas stosunki z USA? Widać było, że Amerykanie doceniali rolę Niemiec w procesie jednoczenia Europy. Uznawali w całej już pełni fakt, że jest to kraj o kluczowym znaczeniu na kontynencie. Dzięki sile gospodarczej i stabilności struktur politycznych przysługuje RFN ważna rola w tym procesie. Jednak – po pierwsze musi tu nastąpić pogodzenie niemieckich interesów narodowych z interesem europejskich sąsiadów Republiki Federalnej oraz jej identyfikacja z Europą. Po drugie – i to było z amerykańskiego punktu widzenia jeszcze ważniejsze – istotnym elementem w procesie integracji jest współdziałanie Niemiec Zachodnich ze Stanami Zjednoczonymi.

Nową formułę tej współpracy, uwzględniającą silniejszą już rangę Republiki Federalnej, zarysował Richard Burt, swego czasu amerykański ambasador w Bonn, używając określenia „dojrzałe partnerstwo”. Miał je tworzyć układ, w którym prawa i obowiązki są rozłożone równomiernie na obie strony, gdzie występuje zróżnicowanie interesów, ale nie ich sprzeczność. Amerykanie muszą więc wykazać gotowość do dzielenia się władzą i odpowiedzialnością, a także zaakcentować uznanie dla niemieckiego punktu widzenia i niemieckich interesów narodowych, jakkolwiek wówczas jeszcze Niemcy starali się unikać odwołań do własnego interesu. Tylko w ten sposób będzie można „reagować dynamicznie i twórczo na wyzwanie, które stawiają przed nami przemiany zachodzące w dzisiejszej Europie” – kończył swe rozważania R. Burt<sup>3</sup>.

Runięcie muru berlińskiego 9 listopada 1989 r. i następujące po sobie lawinowo wydarzenia zaskoczyły większość amerykańskich ekspertów i polityków. Okazało się, że Amerykanie, podobnie zresztą jak Europejczycy nie byli przygotowani na tak wielkie przyspieszenie procesu zjednoczeniowego. Waszyngton znalazł się zresztą w dość kłopotliwej sytuacji. Ponieważ jednak od czterdziestu blisko lat przynajmniej werbalnie i taktycznie popierał ideę zjednoczenia Niemiec, nie mógł teraz stwarzać wrażenia, że pragnie zahamować ten proces. Z drugiej jednak strony powodów do niepokoju Waszyngton miał wiele. Główny problem polegał na tym, że zjednoczone Niemcy mogły stać się na kontynencie europejskim hegemonem. Czy takie Niemcy nie stanowiłyby zagrożenia? Czy godziłyby się na powojenne granice? Czy nie miałyby aspiracji nuklearnych? Amerykanie zakładali, że RFN jest państwem zachodnim. W istocie jednak Niemcy uważały się za kraj środkowoeuropejski. Jak się zatem określą po zjednoczeniu, z kim zwiążą się sojuszem? Jaki wyraz postanowią dać swej sile? Wreszcie, co ze stosunkami amerykańsko-niemieckimi? Oto pytania leżące u podstaw niepokoju administracji George’a H. W. Busha na jesieni 1989 r.

Gdy więc 28 listopada 1989 r. kanclerz Kohl ogłosił 10-punktowy plan zjednoczeniowy, Amerykanie stwierdzili, że cały proces odbudowy jednej państwowości niemieckiej może okazać się zbyt gwałtowny i groźny dla sytuacji w Europie. Dlatego

<sup>3</sup> R. Burt, *Deutschland und Amerika. Partner für eine Welt im Wandel*, Herford 1988, s. 275.



administracja Busha zdecydowała się aktywnie oddziaływać na jego przebieg. Nie mogło być zresztą inaczej w sytuacji, gdy formalnie i faktycznie USA czuły się odpowiedzialne za Niemcy, tak jak odpowiedzialny jest silniejszy sojusznik za swego słabszego partnera. I choćby z tych względów miał możliwość wymusić na Bonn uwzględnienie swego punktu widzenia. Już 4 grudnia 1989 r., podczas posiedzenia Rady NATO prezydent Bush przedstawił warunki, wyznaczające proces jednoczenia Niemiec. Powtórzył je kanclerzowi Kohlowi w lutym 1990 r., gdy ten składał wizytę w Stanach Zjednoczonych. Ich istota polegała na tym, że nie tylko miały one godzić narodowe interesy Niemców z uwarunkowanymi historycznie obawami innych państw europejskich, a także USA. Chodziło też o to, aby ponowne zjednoczenie Niemiec nastąpiło w ramach NATO i Wspólnoty Europejskiej oraz przy uwzględnieniu praw i odpowiedzialności czterech mocarstw<sup>4</sup>. To bowiem gwarantowało podtrzymanie specjalnej rangi Ameryki w relacjach ze zjednoczonymi Niemcami.

Szczególnie absorbował uwagę strony amerykańskiej status militarny nowych Niemiec. O rozstrzygnięcie tego problemu, wiążącego się też nierozzerwalnie ze sprawą stacjonowania obcych wojsk na terytorium Niemiec, rozegrała się największa batalia, jaka towarzyszyła procesowi odbudowy jednej państwowości niemieckiej. Wiele różnorodnych czynników przemawiało za tym, aby we własnym interesie oraz w interesie bezpieczeństwa europejskiego zjednoczone Niemcy pozostały w NATO. Chodziło o to, że Sojusz Atlantycki zapewniał najlepszy mechanizm kontrolowania i hamowania ewentualnych ambicji militarnych państwa niemieckiego. Jego siła oparta była również na potencjale niemieckim.

Z amerykańskiego punktu widzenia pozostanie zjednoczonych Niemiec w NATO oznaczałoby nie tylko wzmocnienie samego Paktu, ale także dalszą wojskową obecność Amerykanów na kontynencie europejskim. Eksperci w USA zgodnie twierdzili, że nowych Niemiec nie można pozostawić ani samych, ani izolowanych, ani choćby tylko neutralnych. Waszyngton nie może też wymeldować się z obszaru między Renem a Łabą, czy też wręcz z Europy. Jako paralelę historyczną przywoływano okres po I wojnie światowej, gdy to pozostawiono zdemilitaryzowane Niemcy w środku Europy. W praktyce zostały też zneutralizowane. Mimo to Hitler mniej lub bardziej jawnie je uzbroił i świat pamięta, czym to się skończyło<sup>5</sup>. Z tych względów sprawa utrzymania członkostwa Niemiec w NATO stała się elementem dominującym w amerykańskiej dyskusji na temat zjednoczenia.

Trzeba też z całą mocą podkreślić, że w zabiegach o zjednoczenie Niemiec to Waszyngton był głównym zachodnim poplecznikiem Bonn. Wspierał silniej niż Francja czy Wielka Brytania działania Kohla. I choć w całym procesie odbudowy jednej państwowości niemieckiej decydująca była wola i determinacja kanclerza, który nie tylko narzucił tempo, ale też określił kierunek i formułę zjednoczenia, to administracja Busha zadbała o to, aby przebieg tego procesu nie zakłócił sytuacji w Europie, nie niósł zagrożenia dla bliższych i dalszych sąsiadów nowych Niemiec, *last but not least* – nie podważył pozycji i roli Ameryki zarówno w relacjach z Bonn, jak i na kontynencie.

<sup>4</sup> K. Kaiser, *Deutschlands Vereinigung. Die internationale Aspekte. Mit den wichtigen Dokumenten*, Bergisch Gladbach 1991, s. 178.

<sup>5</sup> „International Herald Tribune” z 27 II 1990.

Formuła zjednoczenia, w której nowe Niemcy przejęły sojusznicze powiązania dawnej Republiki Federalnej, a u władzy pozostały elity ukształtowane w warunkach zachodniemieckich, przywiązane do wartości świata Zachodu wydawała się gwarantować atlantycką orientację polityki zagranicznej. Byłaby to kontynuacja Adenauerowskiej strategii utrzymywania ścisłych powiązań z demokracjami zachodnimi, w tym przede wszystkim ze Stanami Zjednoczonymi. Z drugiej jednak strony trudno było nie dostrzec nowych elementów, wpływających na politykę zagraniczną zjednoczonych Niemiec, które wreszcie stały się suwerenne i „normalne”, czyli formalnie pozbawione kurateli państw trzecich, w tym Stanów Zjednoczonych. Mogły teraz prowadzić, tak jak inne kraje demokratyczne, „normalną” działalność zagraniczną. Należało się zatem spodziewać zwiększonej aktywności Niemiec na arenie międzynarodowej, śmielszego artykułowania w strategii zewnętrznej własnych interesów i potrzeb. Czy będzie to miało wpływ na relacje amerykańsko-niemieckie? Pytanie to wydawało się na początku lat dziewięćdziesiątych całkowicie zasadne.

Tym bardziej, jeśli wziąć pod uwagę nowe elementy i realia geopolityczne, jakie pojawiły się w Europie wraz z runięciem muru berlińskiego, a które tradycyjnie wpływały na kształt niemieckiej polityki zagranicznej. A zatem mieliśmy do czynienia z 80-milionowym państwem niemieckim, najsilniejszym gospodarczo spośród europejskich członków NATO, do tego ulokowanym w centrum Europy. Bo przecież przyłączenie Niemiec Wschodnich do RFN oznaczało nowe położenie geopolityczne zjednoczonego państwa niemieckiego – przesunięcie go w kierunku geograficznego i politycznego środka kontynentu. Poza tym Niemcy znalazły się w otoczeniu krajów przychylnie do nich nastawionych, przestały być państwem granicznym między pozostającymi w konfrontacji Wschodem i Zachodem. Wszystko to musiało wpłynąć na niemieckie poczucie siły i wartości, widzenie własnego bezpieczeństwa, odpowiedzialności i zobowiązań wobec sojuszników.

W grę wchodziły też inne, równoległe zachodzące przekształcenia globalne. Dotychczasowy system dwubiegunowy, zdominowany rywalizacją Związku Radzieckiego i Stanów Zjednoczonych przeobrażał się w strukturę – dla jednych – jednobiegunową, dla innych zaś – wielobiegunową. Zniknęło w każdym razie zagrożenie komunistyczne, nie tylko stanowiące spoiwo bliskiego sojuszu Ameryki z Niemcami, ale też określające charakter zależności RFN od USA. Równocześnie można było obserwować tworzenie się nowych powiązań politycznych i gospodarczych w Europie i świecie, pojawiły się wcześniej niedostrzegane zagrożenia i wyzwania o charakterze politycznym, religijnym i etnicznym. W tej sytuacji trudno było wyobrazić sobie, że państwo o tak wielkim jak zjednoczone Niemcy potencjale gospodarczym i ludnościowym, leżące w centrum Europy, powiązane z zachodnimi instytucjami politycznymi i gospodarczymi będzie mogło zachować w polityce zagranicznej ową „kulturę powściągliwości” oraz zadowolić się w relacjach z USA rolą słabszego partnera<sup>6</sup>.

---

<sup>6</sup> Zob. H. Haftendorn, *Germany as a Self-assured European Middle Power*, w: *A Hybrid Relationship: Transatlantic Security Cooperation beyond NATO*, ed. P. Schmidt, Frankfurt/Main 2008, s. 213–214; F.-J. Meiers, *Crossing the Red Lines? The Grand Coalition and the Paradox of German Foreign Policy*, American Institute for Contemporary German Studies (dalej: AICGS), Policy Report 32, Washington 2008, s. 9; także T. G. Ash, *Germany's Choice*, „Foreign Affairs”, vol. 73, No 4, July/August 1994, s. 65 i n.

Początkowo można było odnieść wrażenie, że mamy do czynienia głównie z kontynuacją dyplomacji zachodnioniemieckiej, szczególnie w odniesieniu do amerykańskiego sojusznika. Utrzymująca się przy władzy w zjednoczonych Niemczech koalicja CDU/CSU–FDP uważała bliskie stosunki z USA za „kotwicę niemieckiej polityki zagranicznej”<sup>7</sup>. Argumentację na rzecz utrzymania tak zażytych stosunków z Ameryką przedstawił szef niemieckiej dyplomacji Klaus Kinkel podczas pobytu w Waszyngtonie: „Wzajemnie się potrzebujemy, podobnie jak w przeszłości. Mamy nie tylko wspólne interesy, nasze wspólne interesy i powiązania przeważają nad różnicami. Niemcy i USA budują rdzeń NATO. Podobnie jak razem z Francją stanowimy motor zjednoczenia Europy, tak chcemy być wraz z USA motorem do osiągnięcia celów euroatlantyckich”<sup>8</sup>.

Poza frazeologiczną otoczką, charakterystyczną dla kurtuazyjnych gestów polityków, krył się głębszy sens niemieckiego rozumienia relacji z USA. Z jednej strony Bonn popierało plan obecności 150 tys. żołnierzy amerykańskich w Niemczech, nie unikano też dyskusji na temat politycznych przyczyn utrzymania Amerykanów w Europie. Z drugiej zaś, po 1989 r. politycy i komentatorzy niemieccy inaczej widzieli rolę USA w Europie. Raczej opowiadali się za funkcją wspierającą, a nie dominacją, jak było przez ostatnie cztery dziesięciolecia. Przychylali się też skwapliwie do opinii głośno wyrażanej za oceanem, że Stany Zjednoczone nie chcą, ani też nie są w stanie być niczym Atlas, dźwigający na swych barkach cały świat, że nie mogą ponosić głównego ciężaru finansowej i wojskowej odpowiedzialności w ramach NATO. Wobec wielu różnych wyzwań i problemów zarówno przywództwo, jak i ciężary muszą być dzielone. A zatem już na początku lat 90. w myśleniu niemieckich polityków wybijało się pragnienie wzmocnienia roli Europy Zachodniej w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i w ramach NATO, a przy okazji podniesienie pozycji Niemiec w partnerstwie transatlantyckim przynajmniej o kilka szczebli wyżej. Choćby dla umocnienia zasady, że dobrze funkcjonujące stosunki amerykańsko-niemieckie są ważnym elementem Sojuszu Atlantyckiego.

Takie myślenie odpowiadało koncepcjom już wcześniej formułowanym w Waszyngtonie, czego przykładem były wypowiedzi ambasadora Burta. Politycy amerykańscy wyraźnie stawiali na partnerstwo z Niemcami na arenie międzynarodowej: począwszy od działań na rzecz stabilizacji w Europie Środkowo-Wschodniej, jej transformacji politycznej i gospodarczej, poprzez stosunki z Rosją, po udział w akcjach zbrojnych na świecie. Co więcej, starali się też przekonać innych Europejczyków do zaakceptowania aktywniejszej roli zjednoczonych Niemiec na kontynencie. Już w maju 1989 r., w przededniu przemian na kontynencie europejskim prezydent Bush senior zaproponował nawet Niemcom „partnerstwo w przywództwie” (*partnership in leadership*)<sup>9</sup>. Wkrótce określenie to zagościło we wzajemnych relacjach. Amerykanom

<sup>7</sup> Zob. wystąpienie Kohla 6 II 1993 r., w: „Bulletin des Presse- und Informationsamtes der Bundesregierung” (dalej: „Biulletin”) 10 II 1993, s. 103.

<sup>8</sup> „Bulletin” 3 III 1993, s. 143.

<sup>9</sup> Stało się to dokładnie 31 maja 1989 r., podczas pobytu Busha w RFN. Zob. K. L. Pruitt, *Die amerikanische Deutschlandpolitik in der Bush-Ära. Wandel einer historischen Partnerschaft*, München 1995, s. 68.

chodziło o to, aby Niemcy zdecydowały się odgrywać aktywniejszą rolę na arenie międzynarodowej, odpowiadającą ich nowej pozycji i randze. Jakkolwiek nie brakowało zrozumienia dla wewnętrznych obciążeń związanych z procesem „wchłaniania” byłej NRD oraz wynikających z historycznych oraz prawno-politycznych uwarunkowań niemieckiej polityki zagranicznej, to jednak podkreślano konieczność zaznaczenia przez Niemcy w bardziej wyrazisty sposób ich nowej pozycji w świecie.

Wydaje się, że wówczas przywódcy Niemiec, niepewni rzeczywiście co do przyszłości świeżo zintegrowanego państwa, nie byli gotowi na przyjęcie proponowanej im nowej roli w relacjach z amerykańskim supermocarstwem. Wprawdzie mogli czuć się pozytywnie wyróżnieni, to jednak należało zrozumieć, że potrzebują czasu, doświadczenia i warunków, aby uznać i zaakceptować swą nową rolę jako globalnego gracza, zrezygnować z „kultury powściągliwości”<sup>10</sup>. Ponadto amerykańska koncepcja „partnerstwa w przywództwie” – faworyzująca wyraźnie Republikę Federalną – nie przystawała do multilateralnych zasad, określających niemiecką politykę zagraniczną. Jeśli zatem w Bonn myślano o pogłębieniu wzajemnych stosunków, to miało ono raczej służyć niwelowaniu ich asymetrii oraz umocnieniu roli Niemiec jako reprezentanta Europy wobec Ameryki. Tak sprawę widział H. Kohl: „My Niemcy ponosimy dzisiaj jako zjednoczony i suwerenny kraj większą odpowiedzialność w Europie i świecie. Wiemy przy tym, że tylko razem z naszymi amerykańskimi i europejskimi przyjaciółmi możemy sprostać tej odpowiedzialności. W tym sensie przyjmujemy zaproszenie prezydenta Busha do stania się partnerami w przywództwie”<sup>11</sup>.

Tymczasem także prezydent William J. Clinton był zainteresowany włączeniem zjednoczonych Niemiec do współodpowiedzialności za porządek międzynarodowy. Takie przesłanie towarzyszyło amerykańskiemu prezydentowi podczas wizyty nad Renem w lipcu 1994 r. Zwłaszcza że wizyta ta zbiegła się z ogłoszeniem przez Federalny Trybunał Konstytucyjny w Karlsruhe werdyktu w sprawie zgodności z Ustawą Zasadniczą udziału żołnierzy niemieckich w działaniach zbrojnych *out of area*. Zdaniem Trybunału konstytucja dawała podstawy do udziału Bundeswehry w operacjach poza obszarem NATO i Niemiec (przy zachowaniu pewnych warunków)<sup>12</sup>. W ten sposób sankcjonowano aktywną rolę Niemiec w akcjach zbrojnych NATO oraz innych organizacji międzynarodowych, co bezsprzecznie umacniało strategiczną rangę zjednoczonego państwa niemieckiego. Zadowolony z orzeczenia prezydent Stanów Zjednoczonych wystosował wówczas apel o bardziej aktywną rolę Niemiec w sprawach światowych. Mówił też wiele o nowych, „specjalnych stosunkach” między Republiką Federalną a USA, co nawet stawiało pod znakiem zapytania tradycyjne *special relations* z Wielką Brytanią. Temu przekonaniu, że Niemcy będą teraz odgrywać bardziej wyrazistą rolę na arenie międzynarodowej, nie towarzyszył jeszcze wówczas niepokój o to, czy w tej nowej sytuacji pozostaną one lojalnym i w pełni oddanym sojusznikiem Amerykanów.

<sup>10</sup> Zob. J. Janes, *New Foreign Policy Responsibilities for United Germany*, AICGS, Washington 2010.

<sup>11</sup> *Konturen und Perspektiven einer neuen internationalen Ordnung. Erklärung des Bundeskanzlers vor der Bundespressekonferenz in Bonn*, „Bulletin. Presse- und Informationsamt der Bundesregierung” (dalej: „Bulletin”) z 18 V 1991, s. 437; zob. też K. Malinowski, *Przemiany niemieckiej polityki bezpieczeństwa 1990–2005*, Poznań 2009, s. 108–110.

<sup>12</sup> Orzeczenie Trybunału w „Das Parlament”, nr 28 z 15 VII 1994.

Zapewniał zresztą o tym Kohl mówiąc w obecności amerykańskiego prezydenta: „My Niemcy wiemy, że nasze bezpieczeństwo i możliwości naszej polityki zagranicznej zależą od tego, czy będziemy niezawodnymi partnerami i czy nasi sojusznicy będą mieli do nas zaufanie”<sup>13</sup>.

Nie ulegało jednak wątpliwości, że czasy, w których Stany Zjednoczone jako mandatariusz po prostu wykladały swoje stanowisko, a Niemcy je akceptowały, przeminęły. W nowych warunkach lojalność RFN wobec Ameryki nie musiała oznaczać bezwzględного posłuszeństwa. I tak, gdy w styczniu 1998 r. administracja Clintona zabiegała o poparcie sojuszników dla ewentualnej interwencji militarnej w Iraku, tylko Wielka Brytania zadeklarowała polityczną i wojskową pomoc dla Waszyngtonu. Niemcy ograniczyły się tylko do poparcia moralnego, ale nie zamierzały wspierać ani finansowo, ani tym bardziej militarnie działań amerykańskich.

Tymczasem we wrześniu 1998 r. wybory do Bundestagu wyłoniły w Republice Federalnej nową ekipę rządzącą. Objęcie władzy przez koalicję SPD–Zieloni początkowo nie skutkowało jakimś dramatycznym zwrotem w niemieckiej polityce wobec Stanów Zjednoczonych. I to pomimo tego, że nowy szef dyplomacji Joschka Fischer z partii Zielonych swą aktywność polityczną rozpoczynał w latach 60. jako uczestnik rewolty młodzieżowej, prowadzonej m.in. pod antyamerykańskimi hasłami. Także socjaldemokratów pod wodzą kanclerza Gerharda Schrödera charakteryzował większy niż ekipę Kohla dystans wobec Waszyngtonu, NATO i militarnego zaangażowania Bundeswehry. Ale to właśnie koalicja „czerwono-zielona” nie tylko poparła zainicjowaną przez USA interwencję zbrojną NATO w Jugosławii na wiosnę 1999 r., ale także zdecydowała o udziale żołnierzy niemieckich w tych bezprecedensowych działaniach zbrojnych. Jeśli Schröder i Fischer zdecydowali się niemalże przekroczyć polityczny Rubikon, odrzucając radykalny pacyfizm i antyamerykanizm, choć oznaczało to narażenie się swoim wyborcom, a nawet członkom własnych partii, to przyszłość relacji amerykańsko-niemieckich wydawała się bezpieczna. Udział Bundeswehry w wojnie NATO z Jugosławią był jednak potwierdzeniem faktu, że Niemcy czują pełną odpowiedzialność za bezpieczeństwo i stabilizację kontynentu europejskiego, chcą – podobnie jak inne mocarstwa – uczestniczyć w kreowaniu nowego ładu międzynarodowego. Oznaczało to, że w relacjach z Ameryką państwo niemieckie zyskało nowe atuty i większą rangę.

To poczucie rosnącego znaczenia spowodowało, że już za prezydentury Clintona strona niemiecka weszła z Waszyngtonem w spór o charakterze strategicznym. I to dwukrotnie. Najpierw poszło o określenie zasięgu działania Paktu Północnoatlantyckiego. Podczas szczytu NATO w Waszyngtonie w kwietniu 1999 r. RFN znalazła się wśród tych państw, które sprzeciwiały się amerykańskiej koncepcji uczynienia z Sojuszu organizacji interwenującej w świecie w zależności od potrzeb i bez ograniczeń. Stany Zjednoczone musiały ulec naciskom oponentów, choć przecież były najsilniejszym państwem członkowskim Paktu i przystać na kompromisową formułę nowej doktryny strategicznej NATO. Znaczący w tym wszystkim był fakt, że delegacja niemiecka, do niedawna jeszcze spolegliwa wobec Waszyngtonu, tym razem działając „ramię w ramię” z Francuzami, wpłynęła na rewizję amerykańskich planów.

<sup>13</sup> Cyt. w: „The Wall Street Journal” z 13 VII 1994.



Powodem kolejnego sporu na linii Waszyngton–Berlin stał się amerykański projekt budowy systemu obrony przeciwrakietowej, potocznie zwany tarczą antyrakietową. Plany amerykańskie wzbudziły zaniepokojenie i nieufność w Berlinie przede wszystkim dlatego, że prezydent USA nie podjął z Europą zasadniczej dyskusji o wykonalności i kosztach takiego systemu, o stratach i zyskach w sferze obronności oraz o politycznych i strategicznych skutkach jego rozmieszczenia. Jedyne informował, że bez względu na protesty Stany Zjednoczone będą nad tym systemem pracowały. Takie postawienie sprawy odebrano w Republice Federalnej jako wyraz amerykańskiej arogancji i braku szacunku wobec sojuszników. Niemców niepokoiło również to, że realizacja amerykańskiego projektu spowoduje nowy wyścig zbrojeń oraz będzie zagrażała stosunkom z Moskwą, osłabiając równocześnie pozycję Rosji w wymiarze globalnym. Można było odnieść wrażenie, że w Berlinie zaczyna się liczyć bardziej interes Rosji niż zamierzenia strategiczne głównego sojusznika Niemiec.

Nie ulega wątpliwości, że objęcie urzędu prezydenckiego przez George'a W. Busha juniora w styczniu 2001 r. zostało bez entuzjazmu przyjęte w Berlinie, podobnie zresztą jak w większości stolic Europy. Jako konserwatysta nowy prezydent nie wzbudzał zachwytu europejskiej opinii publicznej, a także niektórych przywódców politycznych, w tym Niemiec. Podczas gdy z Clintonem, uchodzącym za liberała w amerykańskim rozumieniu tego słowa, politycy „czerwono-zielonej” koalicji mogli jeszcze znaleźć wspólny język, a multilateralne podejście demokratycznej administracji do wielu zagadnień międzynarodowych odpowiadało Schröderowi i Fischerowi, to z Bushem sytuacja była daleko trudniejsza. Nie tylko zabrakło emocjonalnej więzi, ale pojawiła się zasadnicza dysharmonia w zakresie wartości, celów, metod i priorytetów.

W tej sytuacji reakcja kanclerza Niemiec na atak 11 września 2001 r., gdy to Schröder niemal natychmiast zadeklarował *uneingeschränkte Solidarität* z Ameryką, mogła nawet dziwić. Był to jednak odruch niemalże naturalny, wpisujący się w powszechny nurt współczucia i poparcia, jakie świat okazał Amerykanom po ataku terrorystycznym. Następnie kanclerz zgłosił gotowość swego kraju do udziału w akcji militarnej, której legitymizację stanowiło bezprecedensowe w dziejach NATO wprowadzenie w życie art. 5 Traktatu Waszyngtońskiego (a także mandat ONZ). Schröder był gotowy zaryzykować nawet upadek swego rządu, aby przeforsować w Bundestagu udział niemieckich żołnierzy w planowanej przez Amerykanów akcji militarnej w Afganistanie. Jednocześnie wyrażając wolę uczestnictwa w działaniach zbrojnych przeciwko talibom, nawet za cenę pójścia „pod prąd” społecznym nastrojom, rząd SPD–Zieloni kierował się nie tylko zobowiązaniami sojuszniczymi i lojalnością wobec USA, ale także odpowiedzialnością za bezpieczeństwo i sytuację międzynarodową oraz – warto to podkreślić – poczuciem politycznej rangi Niemiec – jesteśmy zobowiązani do działania nie tyle przez lojalność dla USA, ale ze względu na naszą obecną pozycję i rolę.

Nowy rozdział w stosunkach amerykańsko-niemieckich rozpoczął się wraz z ogłoszeniem „doktryny Busha” w 2002 r. Zakładała ona możliwość prowadzenia wojny prewencyjnej, działań unilateralnych oraz wykorzystania siły militarnej jako ważnej opcji w polityce<sup>14</sup>. Berlin ostro krytykował zarówno taktykę amerykańską, jak i rozsze-

<sup>14</sup> O „doktrynie Busha” zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of American Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003.

rzenie zasięgu operacji antyterrorystycznej na Irak. Tak jak w czasach Kohla mówiono, że stosunki z Ameryką to filar niemieckiej polityki zagranicznej, tak teraz konkludowano: „Niemcy nie mogą zaakceptować sytuacji, gdy jeden kraj dyktuje, którądy droga, a inni muszą potakiwać”. Choć RFN solidaryzowała się z Waszyngtonem w walce z terroryzmem, to jednak miała dobrze uzasadnione pretensje do amerykańskiego sojusznika – o unilateralizm, przywiązanie do siły, wyznaczanie fałszywych celów walki.

Tak więc występującemu już od dawna antyamerykanizmowi niemieckiej opinii publicznej towarzyszyła teraz narastająca krytyka niemieckiego rządu pod adresem USA. Kanclerz Schröder zdecydował się nawet zdyskontować w kampanii wyborczej do Bundestagu w 2002 r. niechęć większości Niemców do wojny z Irakiem, do prezydenta Busha i polityki amerykańskiej. Zagrał więc nie tylko na zastarzałych antyamerykańskich emocjach wyborców lewicowych, pacyfistów i nacjonalistów, ale też ogarniającej nowe grupy społeczne fali antyamerykanizmu. W takiej atmosferze doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego Condoleezza Rice nazwała stosunki między Waszyngtonem a Berlinem *poisoned relations*<sup>15</sup>. Niewątpliwie był to jeden z najgorszych okresów w stosunkach USA–RFN.

Relacje te zostały poddane dalszym turbulencjom w momencie, gdy Berlin znalazł się na przełomie 2002 i 2003 r., obok Paryża i Moskwy, wśród architektów tzw. frontu odmowy, ostro sprzeciwiającego się amerykańskim planom wobec Iraku. Niemcy przyczyniły się też w lutym 2003 r. do największego w dziejach NATO kryzysu decyzyjnego, gdy to wraz z Francją i Belgią nie chciały przystać na prośbę USA i zgodzić się na zastosowanie art. 4 Traktatu Waszyngtońskiego wobec Turcji. Następnie w marcu 2003 r. RFN współuczestniczyła w skutecznym blokowaniu amerykańskiej rezolucji w sprawie Iraku na forum Rady Bezpieczeństwa NZ.

Trudno pominąć współodpowiedzialność Ameryki za narastający rozłam i to nie tylko między Waszyngtonem a Berlinem, ale też innymi stolicami europejskimi. Wszak realizowana przez administrację Busha strategia neokonserwatystów, łącząca – obok idealizmu i wizjonerstwa – szkodliwe elementy unilateralizmu, hegemonii i dominacji siły, spotkała się z krytyką w świecie. Wprowadzała ona bowiem zamęt do obowiązujących dotychczas zasad działania międzynarodowego i kreowała z Ameryki symbol arogancji, pychy, a nawet zagrożenia. Naturalny opór wywoływała sytuacja, gdy to administracja Busha narzucała sojusznikom cel i metody działania w myśl logiki: to my decydujemy, kto jest zagrożeniem dla świata. W warunkach pozimnowojennych wydawało się to zasadą zaiste imperialną, dążeniem do dominacji w świecie, realizowaniem własnych interesów politycznych i ekonomicznych<sup>16</sup>.

Antyamerykańska postawa Berlina nie była jednak tylko sprzeciwem wobec użycia siły i odrzuceniem wojny, jako sposobu rozwiązania kryzysu irackiego – czyli wolą odwołania się do zasady *Zivilmacht*, tak popularnej w RFN. Nie chodziło też wyłącznie o to, że odmawiając udziału w ewentualnej akcji zbrojnej przeciwko Bagdadowi, kanclerz Schröder postępował zgodnie z tym, co myślała większość Niemców (przyniosło

<sup>15</sup> Cyt. za R. Wolffe, H. Simonian, H. Williamson, *U.S. Condemns „Poisoned” Relations with Berlin*, „Financial Times” z 21 IX 2002.

<sup>16</sup> Zob. J. Kiwerska, *Neokonserwatywna polityka George’a W. Busha. Założenia, realizacja i skutki*, „Zeszyty Instytutu Zachodniego” 2005, nr 38, s. 46–54.



mu to zresztą zwycięstwo wyborcze we wrześniu 2002 r.). Ta wyjątkowo konfrontacyjna wobec Stanów Zjednoczonych postawa była wyrazem swoistego buntu przeciwko ich przywództwu, odreagowaniem kompleksów i utajonych urazów wobec amerykańskiej siły i dominacji.

Oznaczało to, że w myśleniu Niemiec o ich roli w świecie dokonała się ogromna zmiana. Pod rządami Schrödera i Fischera, reprezentantów pokolenia wyrosłego w warunkach powojennej demokracji, nastąpiło zdyskontowanie faktu, że Niemcy są już krajem w pełni suwerennym i „normalnym”, a do tego największym oraz najsilniejszym w Europie. Z jednej strony oznaczało to, że w sytuacjach konfliktowych RFN może i musi współdziałać z innymi mocarstwami, nie powinna też unikać odpowiedzialności. Tak zachowano się w przypadku Kosowa i Afganistanu. Z drugiej zaś – płynące stąd poczucie siły i rangi rodziło wolę zachowań niezależnych, a nawet konfrontacyjnych. Dotyczyło to też prawa do przyjmowania asertywnej postawy wobec Ameryki i krytycznego stosunku do jej sugestii oraz działań, zwłaszcza jeśli nie odpowiadało to priorytetom polityki niemieckiej.

Niemcy odważyły się w tak jednoznaczny sposób zakwestionować amerykańskie przywództwo, czyniąc tym samym groźny dla Stanów Zjednoczonych precedens. To, że dotychczasowy główny oponent Waszyngtonu w Europie – Paryż – zyskał tak ważnego sojusznika, nie tylko mogło mieć zgubne skutki dla pozycji amerykańskiej, ale stawiało Berlin w zupełnie nowej konstelacji politycznej. Dotychczas RFN często balansowała między USA a Francją, pełniąc wartościową rolę „pomostu”; starała się być wierna obowiązującej od czasów Adenauera zasadzie – unikania wyboru między Waszyngtonem a Paryżem. Opowiadając się – po raz pierwszy – w tak jednoznaczny sposób po stronie Paryża (i Moskwy) przeciwko Waszyngtonowi ten atut zatraciła.

Także proklamowana przez Berlin „niemiecka droga”, nawet jeśli nie budziła skojarzeń ze znaną z przeszłości *Sonderweg*, to stanowiła wyzwanie nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale i Europy. Chodziło o niemieckie ambicje do przewodzenia Europie, a nawet – jak podejrzewał Henry Kissinger – „niemiecka droga to koniec zgody na przywództwo Francji w sprawach europejskich, która była cechą charakterystyczną niemieckiej polityki przed zjednoczeniem”<sup>17</sup>. Pytanie, czy nie wywoła to oporu w Europie, potęgując niechęć w stosunku do Niemiec, wydawało się całkiem zasadne. Mógł o tym świadczyć chociażby stan stosunków polsko-niemieckich, które właśnie m.in. na skutek „irackich” zawirowań przechodziły załamanie. Bowiem dla wielu Europejczyków ze wschodniej i środkowej części kontynentu związenie polityki Niemiec ze strategią Waszyngtonu, zwłaszcza w formie słabszego i mocniejszego partnera było swego rodzaju gwarancją przewidywalności i samoograniczenia niemieckich działań. Niezależny, a nawet konfrontacyjny wobec USA styl polityki Berlina budził oparte na reminiscencjach historycznych obawy rządów oraz społeczności Europy Środkowo-Wschodniej, i to nie tylko ze względu na ich proamerykańskie nastawienie.

Sytuacja zmieniła się pod koniec 2005 r., gdy po zwycięskich wyborach parlamentarnych do władzy w Niemczech powróciła chadecja, a kanclerzem została jej liderka Angela Merkel. Nowa szefowa niemieckiego rządu – w przeciwieństwie do Schrödera

<sup>17</sup> H. Kissinger, *Sojusz na rozstajach*, „Rzeczpospolita” 26–27 X 2002.

– w dobrych relacjach z amerykańskim supermocarstwem ponownie dostrzegła czynnik umocnienia pozycji Niemiec nie tylko w Europie, ale również w ujęciu globalnym. Antyamerykanizm przestał więc kształtować politykę zagraniczną RFN, i to pomimo dominującego w społeczeństwie niemieckim sceptycyzmu czy wręcz niechęci wobec administracji Busha. Nowa kanclerz przywróciła też polityce niemieckiej paradygmat unikania wyboru między współpracą atlantycką a integracją europejską. Ameryka zaś odeszła od prób osłabiania pozycji Niemiec i rozgrywania państw europejskich. Nastąpiła więc intensyfikacja spotkań, powrócono do rozmów i wspólnego poszukiwania rozwiązań politycznych dla światowych problemów. Berlin uzyskał możliwość wpływania na amerykańską politykę zagraniczną, czego dowodem był mniej niechętny stosunek Busha do kwestii ograniczenia emisji gazów cieplarnianych.

Błędem byłoby jednak sądzić, że nastąpił powrót do stanu relacji amerykańsko-niemieckich sprzed kryzysu irackiego, gdy to Niemcy były niezwykle lojalnym i posłusznym sojusznikiem. Trudno ocenić, w jakim stopniu obie strony przemyślały to, co stało się kilka lat temu, wyciągając z tych przykrych doświadczeń konstruktywne wnioski. Jedno nie ulegało wątpliwości, że pomimo dobrej atmosfery we wzajemnych relacjach zyskały one nowy charakter i nowe akcenty, będące skutkiem wydarzeń z niedawnej przeszłości, ale też efektem silniejszej rangi Niemiec. Z jednej strony mieliśmy bowiem do czynienia z osłabioną pozycją Ameryki na arenie międzynarodowej, zniekształconym niepowodzeniami w Iraku i Afganistanie wizerunkiem supermocarstwa. Używając świadomie pewnej przesady można powiedzieć, że USA poszukując rozpaczliwie silnych sojuszników w Europie, liczyły znowu szczególnie na Niemcy.

Stawiało to kanclerz Merkel w wyjątkowo korzystnej sytuacji wobec USA. Silniej niż kiedykolwiek wcześniej Niemcy uświadomiły sobie także swoją mocną rolę na arenie międzynarodowej. Rodziło to potrzebę zachowań dyktowanych własnym interesem, ale też dawało większą odwagę podejmowania zobowiązań międzynarodowych. Aktywność polityczna i militarna RFN w różnych regionach świata (ponad 10 tys. żołnierzy Bundeswehry na kilku kontynentach, z tendencją do wzrostu) i w odniesieniu do różnych wyzwań współczesności stało się atutem, który siłą rzeczy zaczął wpływać na relacje niemiecko-amerykańskie. Czynił bowiem z Niemiec poważnego i niezwykle cennego partnera. Ale też partnera bez kompleksów, gotowego śmiało przedstawiać swój punkt widzenia, krytykować politykę amerykańską bez obaw o reakcję.

Ważne było przecież i to, że Berlin miał za sobą doświadczenie rozejścia się z Waszyngtonem i świadomość tego, że nie zawsze musi zgadzać się z amerykańskim partnerem oraz w pełni akceptować jego politykę. Merkel wyraźnie krytykowała w kontaktach z Bushem niektóre działania jego administracji, choćby odnosząc się do kontrowersyjnej kwestii przetrzymywania więźniów w Guantanamo lub problemów klimatycznych. Wraz z prezydentem Nicolasem Sarkozyem w kwietniu 2008 r., podczas szczytu NATO w Bukareszcie, storpedowała plany Busha objęcia Ukrainy i Gruzji programem przygotowawczym do członkostwa w Sojuszu. Zachowanie pewnej niezależności wobec USA było zresztą konieczne w sytuacji, gdy antyamerykanizm był już stałym elementem niemieckiego życia publicznego, zaś Ameryka czasów Busha wywoływała w Niemczech i świecie więcej niechęci niż sympatii.

Ale i ten element stracił nieco na znaczeniu, gdy prezydentem Stanów Zjednoczonych został Barack Obama. Niemiecka opinia publiczna niezwykle entuzjastycznie za-

reagowała na jego wybór w listopadzie 2008 r. Dla nikogo nie było jednak tajemnicą, że relacje między kanclerz Merkel a nowym gospodarzem Białego Domu nie należały do specjalnie bliskich i serdecznych. Od stycznia 2009 r., gdy Obama objął urząd prezydencki, liderzy Niemiec i Stanów Zjednoczonych widzieli się przy różnych okazjach, dwa razy amerykański prezydent odwiedził Niemcy. Obserwatorzy komentowali, że tych dwoje dzielił pewien dystans i powściągliwość, zwłaszcza na tle sympatii łączącej Merkel z Bushem. Można było przypuszczać, że w jakimś stopniu był to efekt pamiętnej sytuacji z lipca 2008 r., gdy to kanclerz Merkel nie zgodziła się na wystąpienie pod Bramą Brandenburską ówczesnego kandydata demokratów na urząd prezydenta. Tłumaczono, że miejsce to jest zarezerwowane na wyjątkowe okazje.

Z drugiej jednak strony RFN dysponowała już tak poważnymi atrybutami, których nowy prezydent Stanów Zjednoczonych nie mógł zignorować i to bez względu na to, że w lipcu 2008 r. spotkał go w Berlinie afront. Wszak stawiał on na współpracę, dialog i zbliżenie. A poza tym wszystkim waga Niemiec jako uczestnika wojskowej misji NATO w Afganistanie rosła wraz z pogarszaniem się sytuacji w kraju pod Hindukuszem i oczekiwaniem Waszyngtonu, że jego europejscy sojusznicy zwiększą tam swoje kontyngenty. Nie należy się zatem dziwić sprawie, jaką zyskała wizyta kanclerz Merkel w Waszyngtonie na początku listopada 2009 r. Sam fakt, że jako zaledwie drugi w historii stosunków amerykańsko-niemieckich kanclerz RFN miała zaszczyt wystąpić przed połączonymi izbami Kongresu, był znamienity. Przed nią na Kapitolu wystąpił tylko Adenauer – ojciec powojennych, demokratycznych Niemiec Zachodnich.

Tym razem kanclerz reprezentowała już silne, zjednoczone Niemcy, które – w przeciwieństwie do tego, co było w przeszłości – nie stanowią ani zagrożenia, ani trudnego do zdefiniowania wyzwania, raczej są niezbywalnym elementem demokratycznego i pokojowo usposobionego ładu. Mogą silniej i skuteczniej niż kiedykolwiek wcześniej w powojennych dziejach współtworzyć obraz obecnego świata. Zaprezentowała się również jako lider zjednoczonej Europy, świadomej swych celów, odpowiedzialności oraz zadań i jako takiej zdolnej wpływać i kształtować sytuację w skali globalnej. I tę okoliczność, że Niemcy są silniejsze oraz bardziej wpływowe niż kiedykolwiek, Stany Zjednoczone musiały skonałtować, a następnie uwzględnić w swoich relacjach z Berlinem. Z pewnością stał się on partnerem ważnym, ale i trudniejszym niż był w przeszłości. Świadczył o tym chociażby asertywny stosunek Republiki Federalnej do zgłaszanych przez Waszyngton sugestii zwiększenia niemieckiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie. Ale też większa odwaga Berlina w forsowaniu swojego punktu widzenia w sprawach światowej gospodarki i finansów. A zatem zamiast asymetrii w relacjach amerykańsko-niemieckich coraz wyraźniej mieliśmy do czynienia ze zrównoważonym partnerstwem.

## STRESZCZENIE

Przez cały okres zimnej wojny stosunki amerykańsko-niemieckie charakteryzowała wyraźna asymetria. Wynikało to nie tylko z dysproporcji potencjałów obu państw, ale przede wszystkim formuły uzależnienia Niemiec Zachodnich od amerykańskiego patrona: RFN wiele zawdzięczała wsparciu i poręczeniu Waszyngtonu. Zjednoczenie Niemiec w 1990 r. wprowadziło nowe elementy do wzajemnych relacji. Niemcy stały się suwerenne i „normalne”, równocześnie rosła

ich ranga i pozycja w Europie oraz poczucie słabszej już zależności od amerykańskiego patrona. W efekcie na przełomie XX i XXI wieku stosunki amerykańsko-niemieckie weszły w fazę niwelowania asymetrii. Procesowi temu towarzyszyło bezprecedensowe załamanie we wzajemnych relacjach: Niemcy stały się bardziej asertywne wobec oczekiwań i żądań Waszyngtonu, zdolne były też zajmować postawę sprzeczną z linią amerykańską. Z kolei Stany Zjednoczone zrozumiały, że mają teraz do czynienia z partnerem trudniejszym: świadomym swej rangi, silnie artykułującym własne interesy i oczekiwania. Relacje na linii Waszyngton–Berlin weszły zatem w fazę bardziej zrównoważonego partnerstwa.

## **FROM ASYMMETRY TO SUSTAINABLE PARTNERSHIP – GERMAN-AMERICAN RELATIONS**

### **ABSTRACT**

Throughout the Cold War, US-German relations were characterized by a clear asymmetry. This resulted not only from the imbalance between those countries' potentials, but also from formula of the West German dependence on the American patron: the FRG relied heavily on the support and guarantees provided by Washington. In 1990, the unification of Germany introduced new elements to the relationship. New Germany became a sovereign and „normal” state, at the same time their rank and position in Europe was on the rise accompanied by a gradual weakening of the sense of dependence on the American patron. As a result, at the turn of the century US-German relations have entered a phase of mitigating the asymmetry. This process was accompanied by an unprecedented downturn in mutual relations: Germany became more assertive with respect to the Washington expectations and demands; they also became able to attitudes contrary to the American policy agenda. The United States understood that they are now dealing with a more difficult partner: one conscious of its rank, and strongly articulating its own interests and expectations. Washington – Berlin relations have thus entered the phase of a more balanced partnership.

